

Jak Pawłowski ukrywał Grinera

Gdy wybuchła druga wojna światowa, Jakub Hersz Griner z Zamościa miał osiem lat. Gdy się kończyła, w Zamościu nie było po nim śladu, ani po jego rodzinie, ani po większości Żydów zamojskich. W tym czasie, w odległej od Zamościa wsi Polanówka, tułający się chłopiec, sierota – podawał się za Grzegorza Pawłowskiego – od miesiąca pasł krowy u pewnego gospodarza. Miał trzynaście lat. W roku 1958 ten sam chłopiec otrzymał święcenia kapłańskie w katedrze lubelskiej. Wiosną 1970 roku wyemigrował do Izraela, gdzie dotychczas mieszka i pracuje, jako duszpasterz, głównie przy kościele św. Piotra w Jafie; w każdym razie tam można go najczęściej spotkać.

Pośród Polaków, którzy w ostatnim ćwierćwieczu zatrzymali się w Izraelu dłużej, niż było wolno, by trochę zarobić, niewielu było takich, którym ksiądz Grzegorz Pawłowski – Jakub Hersz Griner – nie udzieliłby pomocy. Kim jest ten dziwny duchowny? Zdaje się, że niewiele o nim wiedzą ci, którzy tak wiele odeń otrzymali, bo i skąd mieliby wiedzieć? Trochę więcej wie o nim starsze pokolenie księży archidiecezji lubelskiej oraz znajomi z tych parafii Lubelszczyzny, w których pracował. Ale i ci ostatni również chyba niewiele wiedzą o tym, o czym, jak się wydaje, powinni wiedzieć.

Sam duszpasterz z Jafy nie należy do ludzi zabiegających o rozgłos. W wydawnictwie Archidiecezji Lubelskiej „Gaudium” ukazał się właśnie wywiad-rzeka, który przeprowadziła z nim pani Lucyna Montusiewicz, psycholog, mieszkająca od kilku już lat wraz z rodziną w Izraelu. W wywiadzie tym ksiądz stwierdza między innymi: „Nigdy nie robiłem czegokolwiek, [...], żeby było o mnie głośno. [...]. Ten wywiad, to wszystko robię tylko dlatego, że mój Arcybiskup w Lublinie uznał, że będzie to pożyteczne dla innych – dowiedzieć się o tym, że jestem dzieckiem wojny, że jestem świadkiem Zagłady. To historia osamotnionego żydowskiego chłopca, który został księdzem”¹.

Arcybiskup-metropolita lubelski Józef Życiński, do którego tak posłusznie i uroczonie przyznaje się ks. prałat Grzegorz Pawłowski², nie tylko zachęcał księdza do udzielenia wywiadu, a panią Montusiewicz

¹ *Sluga Mesjasza. Z księdzem Grzegorzem Pawłowskim – Jakubem Herszem Grinerem rozmawia Lucyna Montusiewicz*, Lublin 2005, s. 107.

² Bohater książki, duszpasterz z Jafy w Izraelu, pozostaje wciąż kapłanem archidiecezji lubelskiej, podlega więc jurysdykcji arcybiskupa-metropolity lubelskiego.

do jego przeprowadzenia, ale napisał również do książki „Wprowadzenie” zatytułowane *Człowiek trzech ojczyzn*, w którym z największym szacunkiem pochyła się nad losami bohatera książki oraz wyraża podziw biskupa dla poświęcenia i bezinteresownej pracy kapłana swojej diecezji: Żyda i Polaka, zdążającego do wspólnej ojczyzny wszystkich „ludzi dobrej woli” – w domu Ojca.

Wywiad-rzeka, zatytułowany *Sluga Mesjasza* niczym w soczewce skupia i w całej ostrości ukazuje stosunki polsko-żydowskie oraz – bardzo z nimi powiązane – chrześcijańsko-żydowskie. Bohater książki w roli „zeznającego świadka” zupełnie spontanicznie budzi zaufanie: jest po prostu dobrym, kochającym ludzi człowiekiem. Jest „świadkiem” czasu, który w relacjach polsko-żydowskich oraz chrześcijańsko-żydowskich – w rzeczywistości Polski i Kościoła katolickiego w Polsce w szczególności – jest wciąż czasem swoistym. Jakiż to czas? Na czym polega jego swoistość? Bardzo krótkiej odpowiedzi na to ostatnie pytanie udzielię na zakończenie. Najpierw popatrzmy w ów trudny i zarazem ciekawy czas.

Rozpoczyna się on w latach bezpośrednio poprzedzających drugą wojnę światową, przechodząc następnie w okrutne dni i noce Zagłady. Tak więc, wraz z Jakubem Herszem Grinerem, wyrastającym z dziecięcych lat chłopcem, gościmy niejako w jego rodzinnym domu: towarzyszymy w jego zabawach, niepokojach, narastającym strachu, trudnym do wyobrażenia lęku – aż po niewypowiedziany ból rozstania z najbliższymi. A potem, już z Grzegorzem Pawłowskim ukrywającym Jakuba Hersza Grinera, również „gościmy” w wielu polskich domach w latach wojny. Po wojnie – zupełnie inaczej gościmy w rzeczywistości powojennych lat PRL-u i wreszcie – w wolnej Rzeczypospolitej. Wyjazd z Polski i obecność ks. Pawłowskiego-Grinera w Izraelu to jakby druga część jednej biografii; kontynuacja uczenia się Polski i Izraela, judaizmu i chrześcijaństwa. W sumie, historia żydowskiego chłopca, który został księdzem, daje wyjątkową okazję przyjrzenia się relacjom polsko-żydowskim oraz chrześcijańsko-żydowskim nie tylko w Polsce, ale i w Izraelu.

By lektura książki była owocna, a niepowtarzalność relacji jak najpełniej dostrzeżona i rozumiana, należy mieć na uwadze epokowe wydarzenie, jakim był Sobór Watykański II (1962–1965) oraz radykalną zmianę nauczania Kościoła katolickiego wobec Żydów i judaizmu, jaka nastąpiła po tymże soborze. Najdobitniejszym wyrazem i owocem tych zmian była pielgrzymka papieża Jana Pawła II w Roku Jubileuszowym (2000) do Ziemi Świętej, do żydowskiego państwa, Izraela, i jego stolicy – Jerozolimy. Zresztą bez ostatniego soboru i radykalnie odmiennej postawy Kościoła katolickiego wobec Żydów i judaizmu, nie byłoby również omawianej książki w jej aktualnej postaci.

Zachęcając do uważnego przeczytania całej książki i jak najgłębszej nad nią refleksji, w niniejszym tekście zwrócę uwagę tylko na niektóre wydarzenia lub oceny, o których w niej mowa. Na te mianowicie, które najbardziej poruszyły mnie – również żydowskim dzieckiem, a mówiąc dokładniej, niemowlęciem lat wojny, tyle że w odróżnieniu od bohatera książki niemal od urodzenia ukrytym w kochającej rodzinie polskiej. Ukrytym tak głęboko, że prawdę o swoim żydowskim domu urodzenia odnalazłem dopiero w 35. roku życia i 12. roku kapłaństwa (1978), a swoje rodowe nazwisko – jeszcze 14 lat później (1992). Chyba więc nie będzie zarozumiałością stwierdzenie, że lektura *Slugi Mesjasza* była dla mnie czymś analogicznym do oglądania rodzinnego albumu. A oto parę refleksji towarzyszących temu „oglądaniu”.

Najbardziej poraziły mnie i przygnębiły wspomnienia dotyczące lat wojny. Bynajmniej nie okrucieństwem hitlerowskich zbrodniarzy, o nich dostatecznie się naczytałem i naoglądałem. Poraziła mnie i przygnębiła postawa Polaków, pośród których „osamotniony żydowski chłopiec” się ukrywał i przed którymi,

niestety, równie często uciekał. Od końca października 1942 roku, gdy w Izbicy zamordowano jego najbliższych (matkę i dwie siostry), a on umknął śmierci i został „sam, zdławiony rozpaczą i strachem” (s. 25), aż do końca wojny (1944), gdy, we wspomnianej już wsi Polanówka, poszedł oglądać „przejście sowieckiej armii” (s. 44), ani jedna rodzina, ani jedna osoba, ani jedna, nie otoczyła go miłością. Nikt, ani jedna polska matka, ani jeden polski ojciec nie powiedzieli mu w czasie wojny: nie bój się chłopcze, nie uciekaj. My wiemy, że jesteś Żydem, że zamordowano ci twoich najbliższych i bolejemy nad tym. Uwierz, że jesteś wśród przyjaciół. Jesteś teraz naszym kochanym dzieckiem, naszym synem i my będziemy ciebie chronić.

Zbyt wiele wymagam? Nie wymagam zupełnie niczego. Wiem, że za ratowanie Żyda groziła śmierć całej rodzinie! I wiem, że moi polscy rodzice, kochając mnie jak swego syna, takie ryzyko podjęli. I wiem również, że podobnych polskich rodzin było więcej. I stwierdzam jedynie fakt, że w okrutnych latach wojny nie było ani jednej podobnej rodziny na drodze Jakuba Hersza Grinera. Wszyscy, którzy go przyjmowali, na dłużej lub krócej, najczęściej przyjmowali do pracy – w roli pastucha do krów. I wszyscy, u których pracował, byli bardziej zainteresowani swoimi krowami niż losem sieroty. Dwóm rodzinom, u których był najdłużej, postarał się o wyróżnienie przez Instytut Yad Vashem honorowym tytułem „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata” – ponieważ był najdłużej! Ale nawet od tych dwóch rodzin ostatecznie uciekał, bo nie miał poczucia bezpieczeństwa, bo krowy tam były najważniejsze.

Moich polskich rodziców też pośmiertnie przyzodziłem żydowskim tytułem „Sprawiedliwy...”, ale będąc z nimi, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że jestem po stokroć ważniejszy niż wszystkie krowy świata. A kiedy zapragnąłem mieć akordeon, mój polski ojciec sprzedał jedyną krowę, która przecież dawała mleko, by spełnić prośbę żydowskiego dziecka, które kochał jak swoje własne. A może bardziej niż własne?

Ale wróćmy do bohatera książki. Ostatecznie „osamotniony żydowski chłopiec” przeżył piekło wojny. Złożył się na to cały splot wydarzeń. Człowiek wierzący powie, że strzegła go Boża Opatrzność. Jedno z takich wydarzeń, być może opatrznościowych i chyba najważniejszych, miało miejsce jesienią 1942 roku, w Zamościu, do którego powrócił, uchodząc z Izbicy. Bohater książki opowiada: „Było coraz zimniej. Miałem bardzo liche ubranie i rozpadające się buty. Liczyłem wtedy jedenaście lat, zaczęło się moje tułaczne życie, w strachu, chłdzie i głodzie. Ciągle wspominałem mamę, siostry i to, co się stało – myślę zresztą o tym do dziś. Uciekając z miejsca na miejsce, dotarłem do Zamościa” (s. 30). I oto w jego rodzinnym mieście, pewnego dnia, gdy „przemykał się ulicą”, spotkał jakiegoś żydowskiego chłopaka: niby znanego, ale nie kojarzy skąd; nie pamięta również jego nazwiska. Chłopak ten zapytał:

„– Czy chcesz żyć?

– Pewnie, że chcę! – odparłem.

– Musisz mieć polską metrykę chrztu. Załatwię ci – odpowiedział.

– A ty skąd ją weźmiesz? – zapytałem.

– Co cię to obchodzi! Ja ci się o nią postaram. Poczekaj tu, to ci zaraz przyniosę – odparł. [...]. Chłopak rzeczywiście niedługo wrócił i wręczył mi metrykę [...] i odszedł. Więcej go nie widziałem” (s. 32–33).

Zacytowany właśnie tekst wydawał mi się, przy pierwszej lekturze, jakimś opowiadaniem haggadycznym, a ów *niby znany posłaniec z polską metryką chrztu* przywodził na myśl *aniola ze stron Biblii*. Ale zacytowany tekst jest wspomnieniem autentycznego wydarzenia, które zupełnie zmieniło sytuację egzystencjalną żydowskiej sieroty. Z otrzymaną metryką chrztu, niczym z „przepustką” na życie, poszedł do znanych Polaków. Ci zaś nauczyli go nowej tożsamości: „Nazywasz się teraz Grzegorz Pawłowski”. „I zaczęli mnie uczyć na pamięć nowych imion rodziców, daty i miejsca urodzenia. Wbili mi do głowy tak, że bez zająknięcia się wiedziałem o *sobie nowym – innym chłopcu* – wszystko” (s. 33; wyróżnienie – R.W.-W.).

W ten oto sposób jakiś anonimowy Grzegorz Pawłowski – z metryki chrztu niewiadomego pochodzenia – rozpoczął swój „dyżur” ukrywania Jakuba Hersza Grinera. A czynił to skutecznie, zarówno wobec gestapowca (s. 37), jak i wobec polskiego sołtysa (s. 39). „Zachodziłem – wspomina – do kolejnych wiosek, proponując, że mogę paść krowy. Zatrzymywano mnie, pasłem krowy, robiłem, co mi kazano. Czasem domyślano się, kim jestem, więc odchodziłem i szedłem dalej. Miałem niebieskie oczy, ale widocznie mój wygląd i zachowanie wzbudzały podejrzenie. Wśród tej ciągłej tułaczki nauczyłem się nieźle po polsku. Umiałem pacierz, *a metryka służyła mi jak tarcza*. W każdym domu, gdzie tylko nocowałem, klękałem rano i wieczorem do pacierza, żeby nikt mnie nie posądził o inne wyznanie” (s. 38; wyróżnienie – R.W.-W.).

A gdyby nie miał niebieskich oczu i owej „tarczy”? Gdyby nie nauczył się żegnać i modlić? Zresztą pomimo tego, co miał i zdobył i czego się nauczył, wcale nie czuł się bezpieczny. *Wygląd i zachowanie wzbudzały podejrzenie*, więc wciąż uciekał. A może obawy te były bezpodstawne? Niestety nie. Gdy uciekał z Izbicy, na własne oczy widział, „jak łapali jakiegoś żydowskiego chłopca. *Zatrzymała go jakaś dziewczyna bo uciekał*” (s. 26; wyróżnienie – R.W.-W.). Ta dziewczyna nie miała hitlerowskiego munduru; to była taka zwykła polska dziewczyna z Izbicy. Również w Zamościu, już z metryką chrztu, zatrzymała go zgraja polskich chłopców. Niech zresztą sam opowie: „Otoczyli mnie krzyżąc: »Żydek! Żydek! Przeżegnaj się!« [...]. Ale ja już umiałem się przeżegnać, więc sobie poradziłem. To ich jednak nie przekonało, dalej mówili, że jestem Żydem i chcieli mnie zaprowadzić na żandarmerię. Wiedziałem, że nie ma żartów i uciekłem” (s. 36).

Jedynym komentarzem do dwóch wspomnianych wydarzeń – w książce jest ich więcej – niech będzie brak komentarza. Za bardzo boli.

Wojenne losy „osamotnionego żydowskiego chłopca” czytałem ze ściśniętym gardłem i przez łzy. W tamtym czasie i pośród tamtych ludzi, ze swoim wyglądem, nie miałbym żadnych szans na przeżycie.... Wojenne losy bohatera książki dają do myślenia. Obracają w pył endeckie mity, więcej: z całą wyrazistością ukazują ich szkodliwość. Czy rzetelna lektura książki skłoni do uczciwej refleksji nad przeszłością i rzetelnego rachunku sumienia? Wciąż jest potrzebny. Dla przyszłości. Prawda nie zabija; prawda wyzwala...

W powojennej Polsce bohater książki znalazł schronienie w domu dziecka – w paru różnych domach dziecka, z których już nie uciekał. Najserdeczniej wspomina ten, prowadzony przez siostry benedyktynek misjonarek, w Puławach, a zwłaszcza przełożoną tego domu, siostrę Klarę Staszczak (s. 136 i nast.).

Przy pierwszych zapisach do szkoły pojawił się jednak problem. Gdzieś zaginęła – „chyba u sołtysa w Białowoli” (s. 48) – metryka chrztu, świadcząca, że był „dzieckiem polskich rodziców i katolików”. Zmyślił więc dzieje swoich rzekomo polskich rodziców. „Oczywiście – wyznaje – nikomu nie mówiłem, że jestem Żydem” (s. 47). Tak więc skończyła się wojna, ale „dyżur” Pawłowskiego, ukrywającego Grinera, wcale się nie skończył. Czy był rzeczywiście potrzebny?

W czasach wojennej tułaczki nauczył się chrześcijańskiej obrzędowości: znaku krzyża, codziennego pacierza, dorocznych zwyczajów świątecznych (Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc, zwłaszcza „lany poniedziałek” – s. 36, 39–40). W Tomaszowie Lubelskim poszedł po raz pierwszy do kościoła. W szkole uczestniczył w lekcjach religii. Mogłoby się zatem wydawać, że horror wojny, latami trwający lęk, by nie zostać zidentyfikowanym w swej żydowskiej tożsamości, sprawił, że wszystko, co wiązało się z domem rodzinnym, zostało definitywnie „wycięte”, „wyparte” z pamięci wraz z koszmarem wojny.

Otóż, w przypadku bohatera książki, tego rodzaju przypuszczenia byłyby całkowicie błędne. Chociaż bowiem wojna pozbawiła go wszystkiego i do przesytu nakarmiła lękiem i łzami, ludzką pogardą i poniżaniem, nie zdołała jednak zniszczyć najcenniejszego „posagu”, wyniesionego z domu rodzinnego. Ów „po-

sag” to matczyna i ojcowska miłość⁴, szacunek wobec innych, wobec ich przekonań religijnych⁵ oraz głęboka religijność – „wielka miłość do Boga”⁶. I jeszcze: „prezent” specjalny – od matki! „Mamusia często opowiadała mi o Bogu-Adonaj i o mającym wkrótce przyjść Mesjaszu. Raz powiedziała, jakby w proroczych słowach, że będę jego żołnierzem – *żołnierzem Mesjasza*. Mogłem mieć wtedy pięć, sześć lat. Słowa te wryły mi się w pamięć i są tak żywe, jakby moja matka wypowiedziała je dziś!” (s. 13, wyróżnienie – R.W.-W.).

Tak więc – trudno tego nie dostrzec – ukrywany przez Pawłowskiego Grinera, w nową rzeczywistość wojennych lat wnosił *największy „żydowski skarb”*: *wiarę w Boga Izraela*. Wchłoniętą w latach wojny chrześcijańską modlitwę i obrzędowość *ożywił wiarą rodzinnego domu*, dopełnioną następnie katechezą Kościoła katolickiego i uczestnictwem w liturgii. Wyznaje: „Pochodziłem z rodziny bardzo religijnej i religii potrzebowałem! Ta moja dusza potrzebowała religii! Stopniowo poznawałem religię katolicką, a przede wszystkim Pana Jezusa. Słowa matki, które powiedziała do mnie: »Będziesz żołnierzem Mesjasza« – zapadły w moje serce. Widząc, że ludzie potrafią zrobić sobie tyle złego, poszukiwałem dobra w religii” (s. 95).

Chyba jakoś tak, w wielkim skrócie, naszkicować można drogę duchową, która przywiodła go do prośby o chrzest, w roku 1945 (s. 49) i bez żadnych duchowych rozterek (s. 55) do seminarium duchownego i kapłaństwa – 20 kwietnia 1958 roku (s. 60). Ciekawe, że ten, który w latach chłopięcych doznał tyle krzywdy, wybierając kapłaństwo, miał na uwadze przede wszystkim czynienie dobra. Pytany o motywację, którą kierował się w wyborze kapłaństwa, przyznaje, że była to przede wszystkim realizacja „powołania Bożego, które dojrzało [...]. Ale był też względ osobisty – *widząc i doświadczając tyle zła podczas wojny, pragnąłem i miałem nadzieję, że jako kapłan mogę w swym życiu uczynić więcej dobra*” (s. 97; wyróżnienie – R.W.-W.). Piękne!

W rzeczy samej, byłoby tylko piękne, gdyby już niczego więcej o losach Sługi Mesjasza nie pisać. Ale jego dorosłe życie dopiero się zaczynało i realizacja tego, co piękne, okazała się bardzo trudna. Dobrze rokujący, młody i gorliwy chrześcijanin – neofita – szybko się przekonał, że byłoby najlepiej, gdyby o swoich żydowskich rodzicach po prostu zapomniał. Innymi słowy: Pawłowski nie miał już ochoty Grinera ukrywać, chciał go *ubezuluśnowolnić*.

Wspomniana już siostra Klara, benedyktyńska z Puław, bardzo ceniona przez bohatera książki – „niczym matka” (s. 54) – której zresztą faktycznie i obiektywnie najwięcej zawdzięcza, wcale nie miała ochoty widzieć w nim Żyda. „Chciała abym zerwał ze swoim narodem. Zaczęła mi wyjaśniać – może trochę za ostro – kim są Żydzi i tak dalej [...] A wszystko po to, żebym się oddalił od Żydów. [...]. Nie chciałem pogodzić się z tym, co mówiła” (s. 53). W seminarium duchownym „Ksiądz wicerektor obawiał się, że gdy ludzie dowiedzą się o moim pochodzeniu, to mogę mieć kłopoty duszpasterskie. Nie miałem do niego urazu, ale jednak po tej rozmowie stałem się bardziej wyczulony na punkcie narodowości” (s. 58). Również „Niektórzy bliscy mi księża odradzali ujawnienie pochodzenia. Tłumaczyli mi, zresztą z całą życzliwością: »Po co to ujawniać! Będziesz miał kłopoty! Ludzie, gdy się dowiedzą, nie będą chcieli spowiadać się u ciebie«” (s. 61).

⁴ „Byliśmy kochającą się rodziną. Ojciec był trochę nerwowym, zaś matka nadzwyczaj cierpliwa. Przemawiała do nas zawsze z dobrocią [...]. W dzieciństwie czułem się kochany, szczęśliwy, bezpieczny” (s. 10 i 13).

⁵ „Podczas zabawy z dziećmi polskimi, jedno z nich dało mi medalik. Zawiesiłem go sobie na szyi, bo mi się podobał. Matka, gdy zobaczyła, powiedziała: »Nie wolno! Oddaj ten medalik temu, od kogo dostałeś« [...]. Zrobiłem, jak kazała, oddałem go” (s. 14).

⁶ „Nasz rodzina należała do bardzo gorliwych wyznawców religii mojżeszowej. [...] Ta religijna tradycja, przeżywana w rodzinie, kształtowała moją dziecięcą osobowość i wrażliwość na sprawy Boże. Rodzice wpoili w nas wielką miłość do Boga” (s. 11, 13).

Skąd tak wyraźne antyżydowskie fobie u osób duchownych i to jeszcze w „przestrzeni”, na której hitlerowska nienawiść umieściła aż trzy olbrzymie obozy śmierci – przede wszystkim dla Żydów: Majdanek, Sobibór, Bełżec? Otóż owe fobie są, niestety, znacznie starsze niż hitlerowska nienawiść do Żydów. I to właśnie owe fobie, w dużym stopniu, wyjaśniają postawę wobec Żydów w latach wojny u znacznej części społeczeństwa – nie tylko w Polsce – ale w całej chrześcijańskiej Europie! Bez zakorzenionego w środowisku chrześcijańskim antyjudajizmu i jego konsekwencji – chrześcijańskiego antysemityzmu, hitlerowska nienawiść do Żydów nie okazałaby się tak skuteczna, a Polska nie stałaby się największym na świecie żydowskim cmentarzem. To właśnie na glebie *chorego chrześcijaństwa* mogły się zagnieździć – niestety, wciąż ujawniające swoją żywotność – różnego rodzaju ideologie, upatrujące w Żydzie, w zależności od potrzeby: komunistę, anarchistę, ateistę, masona, liberała, kapitalistę lub jeszcze jakieś inne „straszydło”. W świecie chrześcijańskim – przez długie wieki – Żyd uchodził za największego wroga chrześcijaństwa.

Otóż, całą bzdurność wszystkich fobii antyżydowskich widać jasno i wyraźnie w konfrontacji z konkretnym losem żydowskiej sieroty, bohaterem omawianej książki. Zbrodniczy charakter tych fobii jeszcze bardziej uprzytomnimy, gdy zdamy sobie sprawę, że to właśnie owe fobie poniekąd skazały na śmierć i zamordowały półtora miliona żydowskich dzieci.

Powracając do naszego bohatera, wszystkie upomnienia i ostrzeżenia, które otrzymywał od osób przezeń szanowanych, nie pozostawały oczywiście bez wpływu na jego postawy. Z jednej strony odczuwał tęsknotę za swoim domem rodzinnym, za światem, który utracił⁷, z drugiej – bał się nawiązania z Żydami jakiegokolwiek kontaktu. Opowiada: „Obawiałem się o wiarę, że tę chrześcijańską, nabytą niedawno, mogę stracić. Myślałem ponadto, że pragnę zostać księdzem, mogę mieć z powodu tych kontaktów jakieś przeszkody. Niejasne obawy powstrzymywały mnie przed ujawnieniem się wobec Żydów, kim jestem...” (s. 56).

Zwróćmy od razu uwagę, że lata religijnej – chrześcijańskiej (katolickiej) – formacji naszego bohatera, zwłaszcza jego studiów teologicznych w seminarium duchownym, przypadły na okres przedsoborowy. Pawłowski zatem nie tylko Grinera ukrywał, ale go również poniekąd deformował pseudoteologicznymi ideami antyjudajizmu. To przecież w antyjudajizmie miała swe źródło idea odrzucenia Żydów, co nazwał dążeniem Pawłowskiego do ubezwłasnowolnienia Grinera. Na szczęście w przypadku naszego bohatera okazało się to nieskuteczne.

Ukrywany przez Pawłowskiego Griner, pomimo „przestróg i „dobrych rad”, opublikował w „Tygodniku Powszechnym” w 1966 roku, artykuł pod wszystko mówiącym tytułem *Moje życie*. Komu to było potrzebne? „Od dawna – wyznaje bohater książki – dręczyła mnie myśl, że nie powinienem ukrywać swojego pochodzenia i w ten sposób jakby zapierać się matki i ojca. Powtarzałem sobie, że nie mogę zapierać się rodziny i swojego narodu – w okrutny sposób zamordowanych. Nie ma się czego wstydzić... Moja narodowość była ciągle tajemnicą, niemal dla wszystkich” (s. 61).

Po ukazaniu się artykułu przestała być tajemnicą, w Polsce i nie tylko – wieść o artykule dotarła do Izraela i w ten sposób „osamotniony żydowski chłopiec” odnalazł swoją rodzinę, swego rodzonego brata. Od dłuższego już czasu – jeszcze przed odnalezieniem brata – myślał o wyjeździe do Izraela, ale opublikowany artykuł pomógł w podjęciu decyzji. Wspomina wydarzenia marcowe 1968 roku, ale zauważa, że w owym czasie nie spotkało go nic przykrego. „Nikt mi nawet złego słowa nie powiedział” (s. 64). Co więc ostatecznie zdecydowało o wyjeździe? Odpowiada: „Kochałem Polskę i byłem do niej przywiązany, wyjeżdżałem w nieznaną, poniekąd wbrew własnej woli, pociągnięty jakimś wewnętrznym nakazem, czułem, że specjalnym powołaniem” (s. 66). Do tego „powołania” powrócę.

⁷ „Kiedy mieszkałem w Lublinie, specjalnie przychodziłem czasem na ulicę Lubartowską, gdzie po wojnie mieszkało jeszcze dość dużo Żydów, aby posłuchać jak rozmawiają w jidysz” (s. 56).

Smutne i samotne było pożegnanie z Polską, chociaż była wiosna⁸. Przy okazji wyjazdu pewne ważne zmiany zaszły w dokumentach tożsamości Pawłowskiego. Pomocny okazał się ponownie wspomniany artykuł z „Tygodnika Powszechnego”. Nasz bohater wspomina: „Przedstawiłem w urzędzie do spraw emigracji Żydów wycinek z artykułu, miałem też już adres i zaproszenie od mojego brata z Hajfy. Na tej podstawie uznano, że Grzegorz Pawłowski to Jakub Hersz Griner” (s. 66). Opuszczając Polskę, musiał, zgodnie z wymogiem władz PRL-u, wyrzec się obywatelstwa polskiego.

Oczywiście Jakub Hersz Griner nie wyrzekł się w Izraelu Pawłowskiego, chociaż rola tego ostatniego uległa zmianie. Na ogół Pawłowski-Griner są przyjaciółmi, życie jednak nie szczędzi sytuacji konfliktowych. Życie okazuje się też najlepszym nauczycielem.

A przyczyny konfliktów są przeróżne. Najczęściej, przynajmniej na początku, płynęły one z przedso-borowej deformacji, w jakiej uformował Pawłowski Grinera. I tak, wyznaje na przykład: „Uważałem (...), że jako Żyd powinienem pracować w Izraelu i szerzyć chrześcijaństwo wśród swego narodu. Byłem nastawiony misyjnie” (s. 66). Wszystko więc było misyjnie: demonstracyjne noszenie koloratki wobec najbliższej żydowskiej rodziny, usiłowanie modlenia się i żegnania w ich obecności; gniewna reakcja, gdy najbliższa rodzina nie akceptowała jego kapłaństwa itp. Ale powoli uczy się pokornego bycia pośród swoich braci Żydów. Nie obawia się nawet dołączyć do modlitwy żydowskiej, gdy brakuje na przykład dziesiątego do modlitwy, komentując to w następujący sposób: „Nie widziałem nic złego w tym, że jako katolicki ksiądz modliłem się z Żydami w synagodze. Modliłem się tak, jak mój dziadek, ojciec czy brat. Modliłem się szczerze, co w tym złego? Przecież to jest modlitwa! Człowiek, który ma *żydowską duszę*, to rozumie!” (s. 100).

Zdaje się, że z tą „żydowską duszą” troszeczkę nasz bohater przesadził. W każdym razie antropologia filozoficzna niczego o jakiegokolwiek „żydowskiej duszy” nie mówi. Natomiast zachowanie ks. Pawłowskiego-Grinera, modlącego się z Żydami w synagodze, doskonale by rozumiał papież Polak, Jan Paweł II, i z pewnością rozumie go i akceptuje jego zachowanie papież Niemiec, Benedykt XVI. Obaj mają po prostu dusze ludzkie i to wystarczy człowiekowi; obaj Następcy Piotra umacniają braci chrześcijan w wierze, obaj posoborowe nauczanie Kościoła głoszą całemu światu. I dlatego właśnie nie ma w ich zachowaniu ani nauczaniu żadnego misjonarstwa w stosunku do Żydów. Papieże epoki posoborowej uczą szanować i kochać Żydów, starszych braci w wierze.

Właśnie taki charakter miała podróż po Polsce, jaką odbył bohater *Śługi Mesjasza* w roku 2004, ze swym bratankiem, pobożnym Żydem. Opowiada o tym ostatni rozdział książki. Jak Pawłowski już nie ukrywa Grinera, lecz z szacunkiem i miłością chroni go przed wszelkimi nieporozumieniami i niepotrzebnymi zderzeniami.

Pozostała nam odpowiedź na pytanie, o swoistość czasu, o którym mowa w omawianej książce. Jest to mianowicie czas przedso-borowy z widocznym antyjudazmem. A potem czas Soboru Watykańskiego II, który zdiagnozował i nazwał przewlekłą chorobę, od wieków zalegającą środowisko chrześcijańskie. Tą chorobą jest antyjudazm i jego konsekwencje – przeróżne antyżydowskie fobie. Sobór nie tylko zdiagnozował i nazwał ową chorobę, ale również nakazał terapię. Jesteśmy wszyscy w trakcie leczenia. Czy jest to leczenie skuteczne?

⁸ „Siostra Klara ze współsiostrą przyjechały do Głuska i pomogły się pakować. Kiedy odjeżdżałem pociągiem z Lublina do Warszawy, tylko one żegnały mnie na stacji. Uśmiechałem się, jednak kiedy pociąg ruszył, rozplakałem się. Była wiosna 1970 roku” (s. 66).